

PAWEŁ MARGUERITTE.

## CZARNA KSIĘŻNICZKA

24

(Ciąg dalszy)

Otworzył szafkę i dobył z niej koszyk, który kupił poprzednio od ojca Bougneau, poskramiacza żmii. Może teraz los mu posłuży? Wszedł na tajemniczy korytarz, świecąc sobie lampką elektryczną i dostał się przed ścianę pokoju pani Morailles. Naciskając sprężynę odsunął mur, baryerę i zajrzał do środka. Pokój był pusty. Aurora, której głos dochodził go, znajdowała się w bocznym salonie przy Jacku. Nadeszła decydująca chwila.

Na ręce włożył z grubej skóry, długie rękawiczki, zachodzące aż po łokcie. Wziął koszyk, przytknął go do otworu i wolno odsunął wierzch. Żmija widząc dochodzące ją światło z pokoju pani Morailles, zaczęła kręcić się, rozwijać i przyczółgała się do otworu w ścianie. Markiz uczył, iż płaz wysunął się już z koszyka.

A więc zemsta jego spełnia się. Z zapartym oddechem, z błyszczącymi oczami stał przy ścianie i wpatrywał się w ruchy żmii. Zaczółgała się pod fotel. Oby tylko żadnym swem dotknięciem ciała Aurory, Jacka lub Joanny.

Drżał z rozkoszy na myśl, że będzie patrzył na ich ból, na rozpacz swej żony. Czekał długo. Aurora wróciła przed chwilą z pokoju Andrzeja i siedziała przy posłaniu Jacka. Dzień ten wyczerpał ją, za wiele doznała wzruszeń. Naprzód radosne spotkanie z panią Seymour, w której odnalazła dawną serdeczną przyjaciółkę, potem to straszne niebezpieczeństwo, grożące jej synowi.

Pan Morailles dojrzał wreszcie na progu swą żonę i usłyszał jej głos:

— Dobranoc Joanno, śpij dobrze.

— To tobie, Auroro, trzeba dać tę radę.

— Oh, ja...

— Widzisz, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo ani Jackowi, ani Andrzejewi.

— Moje biedne dzieci...

Markiz zadrżał na te słowa. Więc ona śmie równać jego syna z tym bekartem! Ach, prędzej, niech żmija otoczy się koło niej! niech zemsta się dokona!

Pani Morailles z wolna rozbierała się. W postaci jej widać było zmęczenie, wycieńczenie nie tylko fizyczne, lecz i duchowe. Markiz patrzył na jej wychudłe kształty, przypominał ją sobie z dawnych lat, zaraz po ślubie, lecz uczucie żalu nie powstało w jego sercu. Bosemi nogami zbliżyła się do łóżka i nagle przerażający krzyk wstrząsnął wszystkimi, zajęcząc bólem i rozpaczą.

Markiz lubował się z rozkoszą, widokiem Aurory, która skoczyła na środek pokoju z wiszącą u kostki nogi czerwoną żmiją. Z piersi jej dobył się nowy krzyk tak straszny, jakby to był ostatni głos pożegnany ze światem i padła na ziemię bez czucia.

W chwili tej była już przy niej Joanna. Spostrzegła i zrozumiała odrazu całą groźbę położenia. Nie tracąc chwili czasu chwyciła żmiję przy samym łbie, oderwała ją od nogi i bez sekundy wahania ręką swą wraz z płazem włożyła w płonący ogień na kominku. Gdy ją wyciągnęła z powrotem, zamiast dłoni miała jedną nabrzmiałą ranę, zwęglonemi resztkami gadu.

Nagle rozległ się brzęk tłuczonego lustra, wyrwając z ust Aurory nowy, ale już nieludzki, obłąkany wrzask przerażenia. Lustro wiszące na ścianie, trącone zapewne czołem markiza spadło na ziemię, odkrywając otwór na tajny korytarz, w którym oświecony lampką elektryczną stał jej mąż z szatańskim uśmiechem. Widok ten znikł natychmiast. Markiz nacisnął sprężynę i w oka mgnieniu zasunął się boazerja i ściana, nie pozostawiając najmniejszej szczeliny.

— Tam!... Tam!... On!... — wołała spazmatycznie.

Gdy Joanna obróciła się, ujrzała tylko szalony przestרח w jej oczach i blade wargi powtarzające:

— Tam!... Tam!... widzę go.

— Co! Co widzisz, Auroro?... Żmija już spalona...

— On tam był... Ukryty korytarz, widziałam go... oh!

— Auroro, uspokój się, przecież widzisz, że niema nic, tylko ściana. Halucynację miałaś.

— Nie, nie, widziałam go, jestem pewna... Za ścianą znajduje się ukryty korytarz... On tam był, śmiał się!...

W półotwartych drzwiach ukazała się głowa Maurycego.

— Na Boga! co się stało?

— Aurorę ugryzła żmija. Poślij po doktora!... Na razie dam sobie radę.

I mówiąc to, położyła się na ziemi przy nodze Aurory i zaczęła wysysać wargami jad z dwóch małych ranek na kostce.

Doktor Morane gdy przybył, zastał markizę w gorączce; musiał zarazem zająć się i Joanną, która miała rękę strasznie poparzoną.

Po nałożeniu pierwszych opatrunków, doktor wraz z Maurycem obejrżeli podejrzaną ścianę, pukali w nią, szukali jakichkolwiek śladów, lecz nic nie znaleźli.

— Halucynacja? — zapytał Mauryce.

— Nie może być nic innego; wiem, że markiza niema w pałacu — odrzekł doktor.

W chwili tej markiz z radością w duszy z dokonanej zemsty, pędził całą siłą samochodu do Paryża.

## XVII.

## OKRUTNY PLAN.

O pół do dziewiątej rano pan Morailles po krótkim spoczynku — po powrocie bowiem z Roche Forte pokazał się na godzinę w klubie, by na wszelki wypadek zachować sobie alibi — przeglądał ranne gazety, gdy zapukano do drzwi i na progu ukazał się służący z zakłopotaną miną.

— Co takiego?

— Pan markiz wybacz, ale jakaś pani koniecznie prosi o przyjęcie. Tak tego domagała się, że aż portyer sam ją przyprowadził do apartamentu pana markiza.

— Jak się nazywa?

— Nie chce powiedzieć; kazała tylko zameldować, że jest z ulicy Spontini.

— Z ulicy Spontini? To może być tylko albo mistres Harden albo Maud Kiss. Jak wygląda ta pani?

— Bardzo młoda, bardzo ładna i bardzo elegancka.

Markiz zawahał się; w pierwszej chwili chciał jej nie przyjąć, potem jednak rzekł:

— Proszę wprowadzić.

Ukazała się Maud, o zaróżowionej cerze i błyszczących oczach; gdy służący zamknął za nią drzwi, upadła do nóg swego kochanka.

— Henryku, tyś nie miał litości nademną... Jaką ja noc miałam! Ty będziesz się bił, prawda?

— Cóż to panią może interesować? — rzekł pan Morailles obojętnie, podnosząc się z fotelu.

— Jakto, cóżto może mnie obchodzić?... Henryku przecież ty nie przypuszczasz?... Przecież to szaleństwo! Czyś ty mógł sądzić choć przez chwilę, że ten gruby Hartenberg interesuje mnie? Nie, na prawdę, tyś tego nie myślał?

I Maud Kiss wycierała rękami oczy, z których jednak ani jedna łza nie popłynęła. Chciała, by o nią bili się, ale nie chciała odrazu stracić ich obu. Należałoby do zwycięzcy. Wraciła właśnie od Hartenberga, któremu przysięgała miłość, a teraz na wszelki wypadek chciała zabezpieczyć się u markiza.

— Przyznasz jednak pani, że miejsce na audyencyę dla hrabiego wybrała sobie niezwykle. Zresztą ja nie żądam żadnego tłumaczenia. Uczyniła pani to, co jej się podobało, lecz niestety, ja znam pani projekty...

— Moje projekty?

— Tak, pani opiekunka, mistres Harden...

Jakto, mistress Harden ją zdradziła! Na samą tę myśl Maud ledwie powstrzymała się od śmiechu. Jako współniczka mistress Harden wiedziała dobrze, dlaczego jej opiekunka wzbudziła w markizie podejrzenia. Wczoraj miały długą z sobą rozmowę na ten temat i ułożyły cały plan działania.

— I ty wspominasz o tej kobiecie — odezwiała się z oburzeniem... Nie wiesz, że ona jest największym twym nieprzyjacielem; nie domyślasz się nawet, że ona mi spokoju nie daje z powodu tego Hartenberga.

— Doprawdy?

— A żeś mnie spotkał wczoraj z tym grubym Hartenbergiem... Nie, pomyśleć tylko, że ja mogłabym porzucić ciebie dla niego! Chyba o to nie pomyślałeś mnie Henryku. Ach, jakis ty zazdrosny, więc tyś mnie śledził?... Nie ufałeś swojej małej Maud?

Popatrzyła na niego z tak komicznie oburzoną miną, iż uczył, jak gniew jego topnieje.

— Proszę nie odbiegać od tematu...

— Ależ wcale nie odbiegam... Mój drogi królu, to ty nie rozumiesz, że jeżeli zgodziłam się na spotkanie z Hartenbergiem, to dlatego, by uwolnić się od niego raz na zawsze. Mistress Harden ciągle

mnie nim nudziła. Ustąpiłam wreszcie, lecz przyznam się, że masz mało daru spostrzegawczego, jeżeli nie zauważyłeś?...

— Ciekawy jestem... czego?

— Zupełnej poprawności, z jaką zachowaliśmy się, ja i hrabia. Siedzieliśmy jak na wizycie przy herbacie. Jeżeli byś lepiej na niego patrzył, dojrzałbyś jego minę zawiedzioną. Właśnie odebrałam mu wszelką nadzieję.

— To tylko dlatego zgodziłaś się na to rendez-vous?

— Ależ z pewnością, Henryku... Wierz swojej Maud, ona mówi ci prawdę. Chcesz, bym cię pocałowała na dowód prawdy?

I jak kot skoczyła mu na kolana, obejmując go za szyję.

— No, dobrze, ale wytłumacz mi, dlaczego mistres Harden opowiadała mi to wszystko o tobie?

— Na złość twojej małej Maud, mój królu. Ona wścieka się, że traci nademną wpływ, że nie chce porzucić ciebie dla Hartenberga, który ofiarowuje mi miliony. Ona teraz mści się na mnie i podburza cię przeciwko mnie.

— Jedna tylko rzecz jest mi nieprzyjemna teraz — rzekł obojętnie markiz, trzymając ją za ręce i patrząc w twarz, jakie wrażenie wywrą na niej jego słowa — że jestem zmuszony zabić tego grubego Hartenberga, jak go nazywasz.

— Ależ najdroższy, co mnie to obchodzi, byle tobie nie stało się nic złego!

Pół godziny przedtem te same słowa powtórzyła Hartenbergowi, siedząc u niego na kolanach.

— A po co chodziłaś do tej Amelii?

— Przecież i ty mnie przez nią poznałeś. A dokąd miałam iść z nim? Do hotelu? *Shoking!* A może w muzeum, przed Venus... na dworcu kolejowym albo w tramwaju?

— A dlaczego miała Amelia taką minę przestraszona?

— To ty i na to zwracasz teraz uwagę! Przecież ona zajęta tylko Lolem, o nim bezustannie jęczy, kąpie go w słońcu, elektryczności... Jeżeli tylko takie masz zarzuty!...

— Mam i inne, Maud. Dlaczego mi nie ufałaś? Powinnaś była powiedzieć mi, że Hartenberg cię napastuje, a w pięć minut byłabyś już od niego wolna.

— Tak, przez przez prztyk w nos, a potem szpadą w bok. Ja się teraz boję, bo on podobno doskonale fechtuje się.

— Co do tego możesz być spokojna. Teraz tylko musisz mnie opuścić, jestem zajęty.

— Przrzeknij mi tylko, że o wszystkim zapomniałeś. Pocałuj mnie, Henryku.

Objął ją rękami i pocałował. W chwili tej zapukał służący:

— Doktor Saffroy czeka.

— Poprosz.

Bocznymi drzwiami wypuścił Maud, nie tak jednak prędko, by doktor nie spostrzegł znikającej sylwetki kobiecej.

— Telefonował pan do mnie. Oto i jestem. Ale pan nie jest cierpiący, jak widzę — i uśmiechnął się lekko przy tych słowach.

— Nie, nie, drogi panie, czuję się dobrze... Proszę siadać. Może cygaro?...

Saffroy wziął cygaro, powąchał je, trochę przyniósł koło ucha, by słyhać czy szeleści, na znak, że jest suche, wyjął z kieszeni szczyroryk, obciął koniec i zapalił, otaczając się dymem, z którego wyglądała jego czarna, brzydka twarz. Była to niemila postać, ten doktor Saffroy; zyzowaty, z skrzywionymi ustami zdradzał na każdym kroku chciwość, ale skrywaną pozorami dobrego tonu.

— Jak się ma doktor Crux? — zapytał pan Morailles.

— Dosyć dobrze, lecz przeciążony pracą... To nie łatwe dla niego zadanie prowadzić ten dom zdrowia w Auteuil: wydatki są wielkie, obowiązki ciężkie, tak iż nawet zastanawia się, czy dalej utrzymywać go.

Sądziłem, że pan jest współdyrektorem?

— Pomagam mu, ile mogę. Crux oprócz zarządu zajmuje się pewnymi specjalnymi chorobami pomieszczenia zmysłów, ja zaś psycho-nerwowymi.

Panowie przyjmują pacjentów tylko zamożniejszych?

— Rozmaicie zdarza się, bywają lata lepsze i gorsze. W zeszłym roku mieliśmy księcia Sakaradu, dotkniętego niezwykle chorobą nerwową. Uważał się za psa, czekał i kręcił się w kółko, jak mops, gdy chce złapać się za ogon. Kręcił się tak aż do wyczerpania, dopóki nie padł charcząc z pianą na ustach.

— Istotnie, to ciekawe.